

MURRAY BOOKCHIN

GRANICE  
BURŻUAZYJNEGO  
MIASTA

4

Zielona Góra 1998

## GRANICE BURŻUAZYJNEGO MIASTA

Szczęście indywidualnego "ego" zależy od zdolności zintegrowania wielu różnych aspektów ludzkiego życia - pracy i zabawy, rozumu i emocji, aspektu umysłowego i uczuciowego, prywatnego i społecznego w zwartą, kreatywną całość. Procesu tego nie można rozumieć w kategoriach prywatnej, osobowej aktywności. Dla większości jednostek możliwość integracji własnego "ego" zależy od stopnia zintegrowania się ze społecznością w codziennym życiu. Takie społeczeństwa jak klany, dawne wsie czy średniowieczne wspólnoty były przystosowane do potrzeb człowieka i personalnie zrozumiała - w nich jednostka spełniała się we wszystkich dziedzinach życia. W obrębie tych rodzinnych grup i miejskich bytów ludzie wychowywali swe dzieci, pracowali, bawili się, myśleli i śnili, oddawali cześć, uczestniczyli w administracji społecznego życia - a wszystko to bez uczucia, że którakolwiek z tych dziedzin jest oddzielona od innych. Tam każdy mógł szczerze powiedzieć, że indywidualny mikrokosmos jest odzwierciedleniem społecznego makrokosmosu. Oddzielona od wsi czy komuny jednostka wędła a mimo to nie można powiedzieć, że indywidualne "ego" było podporządkowane kolektywowi. Raczej "ego" było całością wymanifestowaną w pojedynczym wcieleniu. W przeciwieństwie do społeczeństw totalitarnych, które podporządkowują jednostkę większemu społecznemu mechanizmowi i ponad jednostkowym celom; klan, wioska, komuna, czy (choć inaczej) "polis", karmią całość "ego" przez krystalizację jej wielowymiarowych potrzeb i możliwości jako indywidualności.

Burżuazyjne miasto odseparowało te dziedziny życia, przydzielając je instytucjom i pozbawiły przez to jednostkę bogatej zawartości życia. Praca została wyniesiona z domu i zasymilowana przez gigantyczne organizacje w biurach i fabrykach. Przestała być rozumiana przez "ego" i był to rezultat nie tylko sposobu przydziału płacy za pracę, ale także zmiany skali handlowych i przemysłowych operacji. Zabawa została zinstytucjonalizowana i ludzka fantazja zniszczona przez mass-media, oferujące sny na jawie. Jednostka została zredukowana do obserwatora swoich własnych wyobrażeń. Rozum i intelekt zostały podporządkowane technicznej monarchii uczelni i specjalistów. Życie polityczne zostało zawłaszczane przez potężne biurokratyczne instytucje, które manipulują ludźmi jako masami i starają się wyniszczyć społeczny spokój. Najbardziej prywatne królestwa jednostki - dom, wychowanie dzieci, seksualność i ciche momenty osobistej refleksji stały się grą agencji i instrumentów masowej kultury, które dyktują normy edukacji, rodzicielskiej miłości, fizycznego piękna, ubrania, wystroju domu i intymnych aspektów ludzkiego życia. Życie społeczne jako wcielenie masowego miasta, rozciąga się powyżej osobistego życia redukując jednostkę z mikrokosmosu całości do jednej jej części. Szczegółowość jednostki została zachowana, ale wielodziedziczność jej zawartości jest fikcyjna. Tak jak fragment układanki jednostka jest odseparowana od całości (i zmuszona do zajęcia się sobą) i jej szczegółowość jest pozbawiona sensu. "Ego" miejskie, które celebrowało swoją wielowarstwową naturę dzięki bogactwu doświadczeń dostarczanych przez miasto, wyłania się wraz z miastem burżuazyjnym jako najbardziej zdegenerowane.

Prawie każdy aspekt miejskiego życia (przede wszystkim w metropoliach) poszedł śladem tego zniekształconego "ego". Przestrzeń metropolii nie tworzy ani uczucia grozy, które dawały aleje miast barokowych, ani (...) uczucia spokoju, wywołwanego przez średniowieczne miasta (jak np. Norymberga). Kreuje ona uczucie braku znaczenia. Wysokie drapacze chmur Nowego Jorku, które wtargnęły do dzielnic prawie wszystkich amerykańskich miast, zmieniają sens personalnej unikalności i suwerenności. Gigantyzm tych struktur czyni mniej szczęśliwym tego, kto zamieszkuje ich pro-

stopadłościany, a indywidualności tego, kto spaceruje w ich cieniu - karłowatą. To nieważne, czy efekty te są zamierzone, czy nie.

To nie nowość, że miejska przestrzeń może być hierarchiczna i egalitarna, po odłożeniu na bok estetycznych wartości, historia architektury i planowania miejskiego może być pisana w tej właśnie perspektywie. Często w starych miastach Europy zbieg szerokich procesyjnych alei stanowi ostry kontrast do wąskich uliczek z małymi mieszkaniami i sklepikami, te pierwsze wywołują grozę i uczucie ich potęgi, te drugie uwidaczniają sens społecznego ciepła. Oczywiście mówią nam, że te przestrzenie zostały zorganizowane, by wyrazić dwa polityczne i obywatelskie poglądy. Ale taka perspektywa nie dostarcza nam wyjaśnienia owego psychicznego patosu monumentalizmu, którym jest przepojona metropolia. Oczywiście strukturalny monumentalizm nie jest czymś nowym dla miasta lub, o czym przypominają nam megaliczne budowle społeczeństw archaicznych, dla wsi. Ale monumentalizm prekapitalistycznego miasta różni się fundamentalnie od monumentalizmu metropolii.

W starożytnych miastach wschodu i - później - w Rzymie i barokowych stolicach, rozmiar publicznych struktur był przejawem władzy. Miejska przestrzeń była w sposób widoczny hierarchiczna i objawiała autorytet dominujących klas. Władza ta rzadko była abstrakcyjna. Deifikowani faraonowie i imperatorzy, czy docześni władcy i monarchowie mieli władzę, która była atrybutem Żywej osoby, ludzkiego bytu, ich autorytet był zrozumiały, ich omyłność i mądrość mogły być zamierzone i przetestowane, ich status, w razie potrzeby, mógł zostać zmieniony. Jeśli autorytet nie objawiał się w powszechnie rozpoznawalnych formach, to był on bez znaczenia. Dla większości społeczeństw prekapitalistycznych władza abstrakcyjna musiała dopiero powstać - nawet monarchiczna wersja takiej władzy, istniała tak dalece jak manifestowała się w świecie codziennego życia.

Nowoczesna metropolia ustanawia ostre zerwanie z tradycyjnymi wyrażeniami autorytetu i miejskiej przestrzeni. Utrzymuje przestrzeń hierarchiczną (przez swój strukturalny gigantyzm), ale specyficznego rodzaju. Władza zostaje całkowicie zabstrakcjonizowana przez przeniesienie jej z osób na instytucje, z konkretnych jednostek na biurokrację bez oblicza. Chociaż władza jest odczuwana jak szarpiący nerw w każdej sferze życia, miejsce tych sił zostało "rozproszone". Przez wzrastający rozmiar miast ich mieszkańcy nie mogli już jasno określać źródeł swoich problemów i nieszczęść. Upersonifikowane moce, które już administrowały społeczeństwem wyparowały z niego. Zostały wyparte przez "system", niejasny i anonimowy aparat.

Ogromne kaniony drapaczy chmur rozwijają u mieszkańców poczucie anonimowości. Strzeliste struktury nie noszą nazw indywidualnych, ich miana zrodzone są z nazw biurokratycznych organizacji. Są megalitami przemysłowego społeczeństwa - ogromnymi, bez ornamentacji, na których nie można zawiesić wzroku. Hermeticznie oddzielone od normalnego klimatu, sztucznie oświetlone, poprzecinane korytarzami ulic swój najbardziej demoniczny efekt metropolie opierają na uczuciu niemocy, wtłoczonemu przez nią jej mieszkańcom.

Sens niemocy zależy od tłumów anonimowych jednostek. Ciało, które dotykają się w podziemnych przejściach, windach i na ulicach są otoczone przez psychiczne pole obojętności. Stłoczeni razem, ludzie stracili siłę aktywnego "wzajemnego dotyczenia", na rzecz utajonej wrogości i wzmacniania dotkliwego braku solidarności. Paradoksalnie, każda jednostka rozpoznaje suwerenność innej przez akt "nierozpoznawania". Każde pragnienie komunikacji jest tłumione przez niewysławiane porozumienia - psychiczny ekwiwalent "społeczeństwa kontraktu" głoszący, że miejska jednostka musi powstrzymywać swą integrację ze społeczeństwem przez surowe zamykanie się

i niemą niezdożywalność. Wysegmentowana rola, jaką biurokratyczne społeczeństwo narzuca jednostce opiera się na micie, że niewzruszona obojętność na świat jest sposobem wycofania się z ujednoliconego społeczeństwa, że anarchia, która prowadzi tłum może być "wytrzebiona" przez lgnące do swojej prywatności i przez pilnowanie swoich interesów.

Ale ten nieartykułowany stan wygody, społecznego wycofania i izolacji tylko pogłębia umasowienie i wzmacnia oddziaływanie ponad społecznych sił na społeczeństwo i ponad jednostkowych sił na jednostkę. Jak Max Horkheimer zaobserwował, "prawdziwa jednostka jest zniszczona kiedy decyduje się na wycofanie się w siebie. Kiedy zwykły człowiek wycofuje się z uczestnictwa w życiu politycznym, społeczeństwo dąży do powrotu do praw dżungli, niszczących każdą oznakę indywidualności. Absolutnie wyizolowana jednostka jest iluzją - najbardziej szanowane ludzkie zalety, takie jak niezależność, wola wolności, empatia, poczucie sprawiedliwości są równie społeczne, co indywidualne. Pełnie rozwinięta jednostka jest świadectwem pełnie rozwiniętego społeczeństwa. Emancypacja jednostki nie jest emancypacją ze społeczeństwem, ale wyzwoleniem społeczeństwa od atomizacji, która sięga szczytu w okresach kolektywizacji i kultury masowej". (Max Horkheimer "The Eclipse of Reason").

Przez wycofanie się z politycznych aren i dziedzin życia "ego" jedynie pomniejsza swój dystans do sił, które ją kaleczą. Jednostka, która skrywa się w sobie i swoich prywatnych interesach, która fortyfikuje się społeczną neutralnością i obywatelską obojętnością, jeszcze bardziej wydaje się na pastwę inwazyjnych sił, przed którymi stara się uciec. Kiedy proces ten zachodzi wystarczająco daleko, to już nie ona decyduje o swoim przeznaczeniu, ale biurokratyczny i autorytarny aparat, którego interesy kolidują z interesami jednostki.

Być może w żadnej sferze życiowej ten regresywny proces nie przejawia się tak dobitnie, jak w podstawowym schronieniu prywatności i intymności - domu. Potężne budynki mieszkaniowe poprzez swą strukturę, tworzą mieszkaniowy odpowiednik biurwców. Życie, które się tu prowadzi jest umasowione. Potrzeba ściśnięcia tysięcy ludzi w minimalnym obszarze bez płacenia ceny w postaci epidemii i istnienia slumsów wymusza psychiczną cenę w fizycznym gigantyzmie i biurokratycznej manipulacji. Strukturalny monumentalizm, w formie mieszkaniowych biurwców i sklepowych kompleksów, ze swoim ohydny ujednoliceniem i hermetycznymi środowiskami niszczy "neighbourhood" (ang. sąsiedztwo w głębszym znaczeniu - także jako "podwórko", stan bycia sąsiadem). Mieszkaniowe obszary monumentalizmu nie pozwalają na żadne spontaniczne działania i nowatorskie style życia. W ogromnych prostopadłościanach poprzeczanych dziesiątkami korytarzy "neighbourhood" jest często uwidoczniata jedynie przez kiwnięcie głową.

Standaryzacja mieszkań napędza standaryzację prywatnego życia, która niszczy wszelką różnorodność. To, że architektura nowoczesnych budynków jest bezpłciowa, korytarze - instytucjonalne i same mieszkania niczym więcej jak mieszkaniowymi biurami nie jest przypadkowe. Budynki mieszkalne są biurokratycznymi instytucjami służącymi samoreprodukcji i samotrzymaniu, tak, jak biurowce są biurokratycznymi instytucjami służącymi handlowi i administracji.

Standaryzacja prywatnego życia może osiągnąć zatrważające rozmiary. Ogromne kolejki przed kasami supermarketów wskazują, że wszyscy zakupują podobne rzeczy w podobnym czasie. Spacer korytarzami rozrośniętych budynków może być bardzo odkrywczy - od drzwi do drzwi - grzechot naczyń zakłóca zgiełk telewizyjnych programów. Te hałasy ujawniają jednolitość stylów życia i personalnych relacji. Budynek

to po prostu jeden wielki apartament, prawie niekoniecznie podzielony swymi cienkimi ścianami. O tym, że ludzki duch wciąż jeszcze migocze w ciemnościach społeczeństwa masowej kultury przypominają tylko dźwięki nielicznych magnetofonów, wyalienowanych ekscentryków. (...)

Po tym, co zostało powiedziane o prywatyzacji społecznego życia, widać, że mieszkańcy miasta nie chcą alternatywy dla wycofania się z obywatelskich działalności (...). Chociaż mogą mieć pozwolenie na wygłaszanie swych opinii na publicznych zebraniach czy spotkaniach wyborczych, (ewentualnie) doświadczenie uczy ich, że decyzje, które oddziałują na ich życie, są podejmowane za ich plecami. Stopniowo poznają tajniki i rzeczywiste podstawy municypalnego życia. Przyzwyczajeni do oszustw, korupcji i niemocy popadają w cyniczną obojętność. Ten stan umysłu ma, niezamierzenie, aktywny wymiar: mieszkańcy odpowiadają na pomijanie ich interesów przez władzę poprzez lekceważenie jej nakazów. Prawie nieświadomie ich ignorancją jest rewanżem wobec władzy. Masowy wzrost "chuligaństwa" we wszystkich wielkich miastach świata - przejawiającego się poczynając od niepłacenia za przejazdy komunalnymi środkami transportu przez zaśmiecanie ulic, aż do aktów wandalizmu przeciwko wszystkim formom "publicznej własności" - to przejaw nie masowego zubożenia, ale masowej wrogości. Te drobne zbrodnie prowadzą czasem ich wykonawców do poważniejszych przestępstw - takich jak włamania, gwałty i morderstwa - które czynią niektóre dzielnice miast miejskimi dżunglami. Korzeni tej erozji miejskiego morale należy upatrywać w procesach, zachodzących w Nowym Jorku wiek temu, czy w Londynie - 2 wieki temu.

Ze świadomie kwitnącego bytu miasto zmieniło się w pogrążone w śpiączce państwo: może sprawować wszystkie publiczne funkcje pod ministracjami jego super-agencji i egzekutywnych ciał, a dla wszystkich praktycznych celów jest ono koniecznym warunkiem. (...)

To, że nowoczesne miejskie byty mogą kontynuować swój wzrost wbrew swojemu duchowemu i fizycznemu upadkowi jest dowodem patologii burżuazyjnego systemu: upadek samostanowienia (się) zabija tradycyjnie przynależną miastu kulturową vitalność. Paradoksalne określenie Mumforda - metropolii jako "anty-miasta" - nie jest błędne. Bezgraniczna ekspansja sama w sobie jest ograniczeniem, autodestrukcyjnym procesem, w którym treść ustępuje formie, a rzeczywistość pozorom.

Kolonizacja przestrzeni dokonywana przez nowoczesne miejskie byty nie jest już świętem wizualnej i kulturowej stymulacji i nie niesie ze sobą różnorodności: wytwarza dzisiaj dewastującą jednolitość i standaryzację, które zubożają ludzkiego ducha. Dzisiejsze miejskie byty nie są już zasobami indywidualizmu: są drenami *par excellence* psychicznego i fizycznego umasowienia - agregacji jednostki w tłum. To umasowienie izoluje raczej niż ustosunkowuje, nie tworzy "powszechnej świadomości" o jakiej mówił Gustav Le Bon, ale "beźświadomość" i apatię. Burżuazyjne miasto (o ile takim może być jeszcze nazywane) jest miejscem nie ludzkiej bliskości, ale anonimowości. Jego ograniczenia mogą być podsumowane stwierdzeniem: "the more is of urbanism, the less there is of urbanity" (gra słów, nieprzetłumaczalne na polski).

Tutaj fabryka, jako źródło i model burżuazyjnego miasta nabiera wielopłaszczyznowego znaczenia. Jako ucieleśnienie akumulacji kapitału, produkcji dla samej produkcji staje się dżinem powodującym nieograniczony wzrost ekonomiczny jak i dostarczającym głównych składników nieograniczonemu wzrostowi miejskiemu. Dla burżuazyjnego umysłu, ponadto, jest ona sensem, w którym formuje on strukturalny model społeczeństwa. W USA, być może bardziej niż gdziekolwiek indziej narodowy podział pracy dąży do wzorca fabrycznego podziału pracy, nie tylko konceptualnie,

ale także ekonomicznie. Dla kapitału kontynent jest niczym więcej, jak ogromnym przemysłowym przedsięwzięciem, granice jego regionów ustanowione są stosownie do zasobów naturalnych, lokali handlowych i handlowych operacji. Ewentualne względy ekologiczne są tylko próbą oszustw - rola, lasy, minerały i zbiorniki wodne to jedynie "zasoby naturalne", których eksploatacja nie potrzebuje uprawomocnienia, z wyjątkiem, kiedy płaszczyzna "środowiskowej troski" jest potrzebna, by uśmierzyć uczucia pobudzonej "opinii publicznej".

Ta fabryczna umysłowość znajduje najwymowniejszą ekspresję w stworzonym przez ludzi miejskim świecie. Każdy estetyczny miejski wzorzec, odziedziczony po przeszłości zostaje poświęcony systemowi szos i obwodnic (fabrycznemu *par excellence*), którego nadrzędnym celem jest jak najskuteczniejszy transport dóbr i ludzi. Źródła zostały zasypane, krajobraz zmieniony bez jakiegokolwiek możliwości na naturalne piękno. Wspaniałe połacie drzew - usunięte, nawet cenione architektoniczne i historyczne pomniki zostają czasami niszczone. Teren jest wyrównywany, gdziekolwiek jest to możliwe i przypomina często fabryczną podłogę. Kanciaste i pokrzywione ulice średniowiecznych wolnych miast, które cieszyły oko swą kreatywnością i niespodziewanymi architektonicznymi rozwiązaniami zostały zastąpione przez monotonię bezpłciowych biurów. Piękne zabytkowe place zostały zredukowane do punktów handlowych, a stare podwórka zniszczono przecinając je szerokimi ulicami. Historia zostaje zachowana, ale tylko jako archeologiczny unikat w pomnikach, które zostawiła. Dla starożytnych zrównanie z ziemią zdobytego miasta było znakiem absolutnego zwycięstwa: tak długo, jak miasto stało, wróg nie był do końca pokonany. Nawet po jego uwięzieniu, miasto dostarczyło mu "wizualnej" egzystencji. Dla nowoczesnych "burgeois", którzy niszczą swoje własne miasta dzień w dzień w otchłani konstrukcji i destrukcji, wszystko, co zasługuje na wieczność (uwiecznienie) jest wrzodem, groźnym dla świata modnych gadżetów. Przeszłość przypomina, że wieczność ma ilościowy wymiar, nieprzyjazny produkcji nietrwałych wartości.

Jak każda fabryka burżuazyjne miasto pochłania nie tylko ludzi, ale i swój własny materiał - ziemię. W USA niszczy ono około 3000 akrów dziennie (dane z roku 1973). Od końca II wojny światowej więcej niż 30 milionów akrów zostało pogrzebanych pod zwalami betonu i stali, część z nich była rolniczo bardzo produktywna. By wyżywić tę ogromną populację, zamieszkującą miasta, rolnictwo musi być uprzemysłowione i zredukowane do fabrycznych operacji. Uzyskiwane jest to przez spryskiwanie upraw szkodliwymi chemikaliami, użyźnianie gleby nieorganicznymi nawozami, zbieranie żniw za pomocą wielkiego zmechanizowanego wyposażenia i wyrównywanie terenów na wsi. Patrząc z perspektywy populacji i użycia ziemi, widzimy ogromną różnicę rozwoju pomiędzy miastem a wsią. Większość Amerykanów gromadzi się wzdłuż wysoce zurbanizowanego pasa przybrzeżnego i w miejskich strefach środkowego zachodu. Co trzecia miejska strefa jest przykładem degeneracji populacji, lecz miasta stale i bezlitośnie kontynuują swój wzrost i niszczą ostatnie pół-miejskie ("semi-rural") schronienia przed urbanizacyjnym przepełnieniem. Około jedna czwarta populacji zamieszkuje teren w przybrzeżnej strefie pomiędzy New Hampshire a północną Wirginią w miejsko-podmiejskich regionach, które Jean Gottmann trafnie nazwał "megapololis". Na tym terenie 30-40 milionów ludzi zamieszkuje 10 tysięcy mil kwadratowych (a więc na 1 milę kwadratową przypada 3-4 tysięcy ludzi) miejsko-podmiejskiego terenu. Gęstość zaludnienia wzrasta w większości miejskich obszarów. Na Manhattanie osiągnęła ona wynik 80 000 ludzi na milę kwadratową, a w starych slumsach liczba ta jest pewnie jeszcze większa.

Ekologiczny ciężar, który burżuazyjne miasto nakłada na środowisko naturalne jest przytłaczający. Miasto jest zarówno ofiarą zatrucia powietrza i wody, ale i olbrzymim zanieczyszczeniem. Jego zapotrzebowanie na wodę wywraca do góry nogami hydrologiczny cykl otaczającego je regionu, a jego stałe marnotrawstwo wznosi się ponad racjonalną kontrolę. Sam Nowy Jork generuje 30 000 ton śmieci dziennie, pomijając ścieki, które wpływają do jego rzeki i zatok. A w międzyczasie ciągle się rozrasta. Każdego dnia każde burżuazyjne miasto rozprzestrzenia się na okoliczne niezurbanizowane obszary i przypominając nieobliczalny nowotwór, niszczy sieć rzeczną i kolejne połacie ziemi, których zachowanie może się okazać niezbędne dla przeżycia ludzkości w przyszłych wiekach. Myśl, że ten miejski postęp nie ma granic, uświadamia nam faktycznie, że świat natury posiada decydujące ekologiczne limity i, że limity te mogą być nieodczuwalne, aż zniszczenie środowiska naturalnego będzie nieusuwalne, a przywrócenie ekologicznej równowagi - niemożliwe.

Tłumaczenie: Piotr Borodulin-Nadziejka

(fragmenty rozdziału "Limits of the Burgeois City")



## RED RAT

<http://red-rat.w.interia.pl>

e-mail: [red\\_rat@interia.pl](mailto:red_rat@interia.pl)

Artur Wyrwa, skr. poczt. 39, 65-182 Zielona Góra 5  
koperta + znaczek za 1,20zł = katalog Red Rat